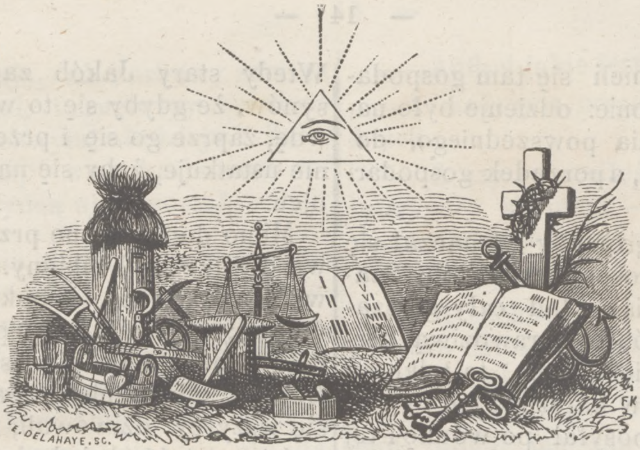
ROK PIĄTY.

№ 2.

WARSZAWA

d. 27 grudnia (8 stycznia)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

1sza po Trzech Królach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELA.

Wiecie bracia, iż dwie są jałmużny: jedna z serca, druga z pieniędzy. Serdeczna jałmużna jest, gdy się nad tym zmilujesz, który cię obraził, a jemu to odpuszczasz; powtóre, ubogiemu chcesz dać co, a nie masz; a tę serdeczną dać zawsze jalmużnę możesz. *(Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą niedzielę roku przez X. P. Skargę).*

Wyrok Ojca.

—

Dawniej panowie szlachta trzymali się ojcowizny jak przykuci, dawniej i lud wiejski, mimo nadaną mu wolność przenoszenia się na obrane miejsce, trzymał się stale domowego gniazda. Już też chyba coś nadzwyczajnego rugowało go z miejsca, gdzie się rodził, a dziad i ojciec pomarli.

Ale w późniejszych leciech, dziedziny od wieków własnością jednej rodziny będące, poczęły dostawać nowych panów. Nieopatrzność w rachubie, życie nad możność wstrząsnęły posiadaczami fortun zaszarganych; i stawili się ludzie zupełnie nowi, często obcy wiarą i językiem, i zasiedli na niwie, o której przodkowie ich nawet nie marzyli. Nieoględni ustąpili miejsca oszczędniejszym, zaradniejszym, już nie mówiąc, jakiemi środkami do majątków dochodzącym.

A jeszcze później rozgałęziona frymarka czepiła się dziedzin starych i traktowali nią nawet właśni swoi. Kupowano wsie z lasem, las wycięto, spieniężono, i wieś odprzedano, nie patrząc komu, nie bacząc że się tam naplywowy przybysz osiedli; bo stygło ciepło miłości rodzinnego ogniska i rozlał się chłód obojętności po sercach, które nad wszystko pieniądz ceniły.

Ale w ludzie prostym dłużej się przechowało owo ciepło miłości swojego; więc też dziwili się, jak to panom łatwo przychodzi opuścić dziedzinę swoję i dom swój, i ten lud, który ich dziećmi się nazywał.

Ale przyczyny i łatwości czynu nie umieli sobie wytłómaczyć. Aż przykładem złym zarażeni jęli się i oni ruchać ze starych siedzib, gonić za lepszem, rzucać chleb, a bułki szukać; a lubo nieraz sprawdziło się, że robakowi źle mającemu w marchwi, w chrzan się popaść dostało, przecież włóczęgostwo ludu coraz się więcej szerzyło. Wszakże przygoda, którą mam opowiedzieć, działa się za czasów, kiedy lud wieśniaczy znał jednę tylko przeprowadzkę... na cmentarz.

Z takiem to usposobieniem ludu była przez niego zamieszkałą wieś jedna na Kujawach. Przybylec nie wcisnął się do niej, bo swoi ze wsi nie ustąpili i prawie wszyscy byli w krewności. I żyli także w moralności wszyscy; dwór dawał dobry przykład we wszystkiem, a żaden przybłęda do wsi nie zaraził zepsuciem

poczciwej gromady. I mieli się tam gospodarze i luźni nawet zasobnie: odzienie było naprzemian od święta i dnia powszedniego, dobytek był zawsze jędrny, a porządek gospodarski należyty.

Zpośród zaś całej gromady odznaczał się nad wszystkich stary gospodarz Jakób. Szanówał go dwór, oficyaliści i lud cały go szanował. Ale bo też Jakób był prawdziwą perłą. Jeśli podochocił sobie czasem, to tylko na weselu, lub chrzcinach; w karczmie nie bywał, tylko w razie potrzeby posyłał po wódkę i tej w domu w miarę używał, a piwo to sobie brał ze dworu całą beczką.

Jeśli się trafiło czasami jakie zajście pomiędzy gromadą, oddawano je pod sąd Jąkóba, a co on wyrzekł, to już się tak stało, i zgoda między zwaśnionymi następowała, jakby nic nie było.

Pobłogosławił Pan Bóg Jakóbowi na potomstwie: miał czterech dorodnych synów. Doprowadziwszy ich do rozumu, dwóch starszych osadził na roli po gospodarzach bezdzietnych, z najmłodszym rządził się wspólnie, przeznaczając go na zastępcę swego na zajmowanej gospodarce.

Tylko trzeci z kolei potomek trapił Jakóba swoją zbytnią krewkością— mimo to jednak ojciec krzepił się nadzieją, że za czasem się ustatkuje; lecz gdy poprawa nie następowała, więc go oddał za parobka do dworu. Ale młody Antek miasto się poprawić, psował się coraz gorzej; nie miał tak bacznego na siebie oka. Zrobiwszy swoje, wymykał do gościńca, czasami się zapruszył, a na kiermasze i jarmarki, o ile tylko mógł, uczęszczał. Bolał nad tem ojciec i nie pozwalał mu do swojej chałupy po miesiącu nawet zajrzeć. Kazał go drugim synom upominać, obiecywać, że mu odpuści, że go ożeni i na gospodarce pierwszej luźnej osadzi, byleby się poprawił; ale to wszystko miało skutek, jakby groch na ścianę rzucał.

Powracał Antek z jarmarków z guzami, twarzą podrapaną, z czupryną odartą, nawet raz przez dwie niedziele na nogę falował. Raz go nawet złapali sadownicy, których nocami straszył i kradł jabłka. Na dobitkę zaś złych wieści padło podejrzenie na Antka, że się do kalêty karczmarce dobrał i zabrał pieniądze. Wtedy stary Jakób zapowiedział mu przez synów, że gdyby się to wykryć miało na prawdę, zaprze go się i przeklnie, a dopóki się nie ustatkuje, żeby się na oczy nie pokazywał ojcu.

Mimo dopuszczane przez Antka zdrożności, we dworze był lubiony. Z sierpem, kosą zawsze przodował, snopki tylko warczały mu w ręku; woły miał najlepsze, najlepiej też orał, na okrężnem pierwszy był do tańca, a śpiewał tak ładnie i coraz nowe śpiewki, że się wszyscy dziwowali, i sam ekonom, choć na niego pieśń ułożył, do rozpuku się naśmiał. Ale jakto mówią, im dalej w las, tem więcej drew. Antek się rozpasał, że i we dworze począł tracić łaskę. Przychodził nie wiedzieć zkąd najpóźniej do roboty, przy wołach nie nocował, a gdy je pasł z kolei, zawsze jakąś szkodę zrobił, i trafiało się, że w dzień roboczy bywał pijany. Napominano go coraz częściej, grożono karą, ale napróżno. Razu jednego stary wyjadacz wojskowy, karbowy, dostrzegł, że w śpichlerzu, znaki jakie robił na zbożu, nadwerężone bywały. Nie mówił nic nikomu, ale czując się odpowiedzinlnym za zboże, od którego miał sobie klucz powierzony, postanowił wartować i schwytać na uczynku sprawcę kradzieży, o której we wsi nigdy słychu nie było. Podejrzenie padło na Antka, bo przez coby tak mitrężył, i za co by się tak napijał!

Wartował więc starannie na podejrzywanego Antka. Razu jednego przyczaiwszy się pod stertą koniczyny, dostrzegł, jako ktoś przyniósł drabinę i przystawił do szczytu śpichrza, a wlazłszy po takowej, odemknął okienko i spuścił się wewnątrz. Wtedy jako stary żołnierz, zrobił sobie plan, że najlepiej będzie przeciąć rejteradę nieprzyjacielowi, aby go pochwycić. Cichaczem podsunął się i drabinkę odstawił, śpiesząc do dworu po światło i sukurs dla przytrzymania złodzieja. I wnet się zebrała armia ludzi, a wedle komendy karbowego uszykowaną tak była, że dwóch stało pod okienkiem śpichrza, drzwi wchodowe osadzone były, trzema, aby się złodziej na przebój nie wydobył, a resztę ludzi rozpuściwszy karbowy po śpichlerzu, sam z latarką i widłami za nimi się posuwał. Obeszli dół; nie było nikogo. Szczwany karbowy idąc na piętro, zostawił stróżę na schodach; na piętrze również

nieznaleziono złodzieja, aż karbowy sam na strych śpichrza wylazł, i rzuciwszy zaledwie okiem, krzyknął: „chwytaj złodzieja.“ Zaledwie słowo „chwytaj“ z ust karbowego rozniosło się, już złoczyńca ujęty został.

Wieść o schwytaniu złodzieja ze wschodem słońca rozeszła się po całéj wsi. Gdy wiadomość ta doszła do uszu starego Jakóba, zadrżał, bo przeczuwał, kto jest tym złodziejem. Nie omyliło się biedne ojcowskie serce, odgadło, że nim był syn jego Antek. Ale w cichej choć wielkiej boleści przyjął cios ten, układając sobie w głowie, jak skarcić niecnotę, a z rodu swego zmyć tak szpetną plamę.

Karbowy zdał panu sprawę bardzo rano, i upewniał, że gdyby złodziei było nawet drugie tyle, byłby ich wszystkich połapał, tak mądrze rzecz urządził.

Zabolał dziedzic, że kradzież niesłyszana nigdy we wsi jego się stała; i cierpiał nad tem, że syn tak poczciwego ojca, jakim był Jakób, pierwszy się shańbił kradzieżą. Godząc więc rzeczy, aby występek nie został bez kary, umyślił sprawę całą oddać wójtowi ościennewu do roztrzygnięcia. aby tem więcej jeszcze uczynić ją poważną przez wymiar sprawiedliwości z urzędu. Wezwany wójt stawił się w oznaczonym terminie, wyprowadził śledztwo, spisał protokół; a gdy się okazało, że Antek parobek kradł i wynosił pańskie zboże, a Bogumił kupował je od niego, z mocy służącej sobie władzy skazał obudwóch po 16 razów chłosty, i wyrok swój zaraz wobec przywołanego ojca na Antku wykonać polecił.

Wtedy to wystąpił stary Jakób i przemówił:

— Panowie, prowadziliście tu sprawę wedle prawa pisanego, ja ją poprowadzę wedle rodzonego. Wprzódy sądził wójt, teraz sądzić będzie ojciec. Chłopcy moi, weźmijcie wyrodka a nie brata Antka — i Antek leżał trzymany przez trzech braci. Wtedy stary Jakób odpasawszy rzemień, rzekł:

— Antku! mów dziesięcioro Bożego przykazania.

Antek przepowiedział całe, a ręka ojcowska ciężką chłostą smagać go poczęła, i jakby dla wypoczynku rzekł znowu Jakób:

— Antku! jakie jest czwarte przykazanie?

— *Czcij ojca twego i matkę twoję*, odrzekł Antek.

— A czy go czciłeś, czyś go słuchał tylko? i posypały się plagi — i znowu spytał Jakób: Antku, jakie jest siódme przykazanie?

— *Nie kradnij*, odpowiedział Antek.

— A zachowałżeś to przykazanie? pytał, i znowu chłostał, i tak do trzech razy powtarzał wszystko. A gdy już opadł na siłach 60-letni starzec, rzekł: Jaśku pierworodny synu mój, dodaj mu raz jeszcze 16. I ty Józefie synu drugi, powtórz to samo.

Janek i Józef 32 razów wyliczyli Antkowi. A ty najmłodszy synu Bartku, ty na starszego ręki podnieść nie możesz; więc jako najmłodszy i najmniej grzeszny, uklęknij i proś Boga, aby w miłosierdziu swem odwrócił to złe od brata twego i nawiódł go na drogę, po jakiej my chodzimy. Antek mimo więcej setki plag nie sarknął; powstał, ucałował nogi rodzica i braci uściskał.

Wtedy ojciec rzekł: masz dukata złotem; ale ci się jąć go wolno tylko w ciężkiej chorobie, i masz trzy talary na życie. Ruszaj w świat; gminny da ci paszport, ja za ciebie dosłużę we dworze. a nie pokazuj mi się na oczy, aż się zupełnie poprawisz; bo przysięgam Panu Bogu, żebym cię zabił.

I po takim wyroku ojca rozeszli się ludzie, Antek pozyskawszy paszport, poszedł w świat, wójt z pisarkiem odjechał. Jakób poszedł na parobka do dworu i we wsi potem cicho było; nie było słychu o kradzieży, tylko młynarz dostał się do więzienia do Brześcia Kujawskiego.

Odmieniło się dużo na świecie bożym: odmieniło się kupa we wsi. bo też wiele lat upłynęło, podobno dwadzieścia z górą od początku naszej powieści. Jakób stary lubo się pochylił, zapadał często, wszakże trzymał się jeszcze jakotako. Ale pod schyłek wieku coraz częściej z synami rozmawiał o Antku, i westchnąwszy, mówił, czy mu go też przed śmiercią choć raz obaczyć Bóg dozwoli, czy też się on poprawił.

— Niechaj będzie pochwalony Jezus Chry-

stus, rzekł jakiś człowiek, wchodząc do chaty dawnej Jakóba, a dziś Bartka, który ogarnął całą gospodarkę.

— Na wieki wieków, odrzekli wszyscy; prosimy dalej.

I wszedł przybylec zaproszony, ale nie mogąc się wstrzymać, padł do nóg Jakóba i zawołał: ojcze, to syn twój Antek, ale Antek inny, poprawiony, odrodzony. Zapłakał stary Jakób i rzekł: wierzę ci synu, Bóg ci złe odpuścił, kiedy powstać z złego pozwolił, i ja ci odpuszczam. I Antek ucałował raz jeszcze nogi ojca, bratowę, bratanków, i wnet przybyli drudzy bracia, i tych Antek ściskał; i był płacz i była radość wielka. A gdy się wszystko uskromiło, Antek opowiedział, że jak wyszedł ze wsi, przystał do wojska i chodził Bóg wie niegdzie; że był tam, gdzie ptaki w powietrzu zmarzłe padały, to znowu gdzie jak noc, to już noc bez końca, a jak dzień, to taki długi jak od świątek do jesieni; i był tam, gdzie ani ziemi nie dopatrzy, jeno wodę i wodę bez końca, aż dostał się wreszcie tam, gdzie tak kule padały jako grad, a choć lud jak muchy padał, Bóg jego zachował zdrowo całego. Aż w ten dzień, który pamiętał dobrze, bo go zawsze suszył, w ten dzień, kiedy kradzieży się dopuścił, nietkniętego dotąd, czepiła się kula i urwała mu rękę prawą, tę samę, którą do kradzieży naprzód posunął.

A ludzie westchnąwszy, rzekli: Sprawiedliwy sąd Boży, prędzej czy później. Gdym się wyleczył, uwolniono mię od służby, i to nie żołnierzem prostym, ale starszym feldfeblem. I mam ten krzyż, dwa medale i dwadzieścia rubli na rok do śmierci, i sto rubli gotowizny, które przyniosłem z sobą na świadectwo mojej dobrej służby, jako dowód, żem się dobrze rządził.

I przyszedłem do ciebie w rocznicę dnia, w którym mnie ostatni raz chłostałeś i mówiłeś: nie pokazuj się, aż się zupełnie poprawisz. Jam ojcze się poprawił i proszę twego odpuszczenia.

— Odpuszczam, rzekł ojciec, ściskając Antka, i lud powtórzył:

— Bóg jest wszechmogący, a ojcowski wyrok mądry!

Czego naszym wsiom potrzeba, żeby były w lepszym stanie?

Patrząc na nasze zaniedbane wioski, zaraz na pierwszy rzut oka widzieć się daje, że w nich po większej części nie dostaje dwóch rzeczy, to jest: *porządku i ładu*, czyli chęci dobrego urządzania osad sielskich i umiejętności stawiania budynków, ogrodzeń, oraz zakładania podwórza i gumniska, chociaż na to jest dosyć miejsca i materyału budowlanego wszędzie prawie nie braknie.

Za dawnych czasów, początkowe zakładanie wiosek w miejscach lesistych odbywało się w ten sposób, że naprzód jeden osadnik zwany *budnikiem* stawił sobie chałupę, stodołę i chlew, sam, gdzie i jak chciał, i jak mu się spodobało; przy nim tak samo budował się potem drugi, trzeci i dziesiąty rzędem, niekoniecznie prostym, stosując się linią do drogi, jaka była... i tak powstała wieś, kilkadziesiąt a nieraz sto i więcej osad licząca, jakich wiele jeszcze jest w tym stanie bezładnym dotąd niepoprawionych, z budynkami niepodobnemi do mieszkań ludzkich; mało zaś gdzie w posiadłościach prywatnych podjęto starania o przyprowadzenie tych osad do przyzwoitego stanu.

Wszystko więc we wsiach takich jest krzywo, niekształtnie i ladajako stawiane, poczynając od ulicy, a kończąc na płotach. Naprzód domy mieszkalne z drzewa źle obrobionego, są bez podmurowania na gołej ziemi zakładane, przez co podwaliny gniją i budynek potem w ziemię zapada. Chałupy są ciasne, a przez to niewygodne, bo niema gdzie się pomieścić; przytem nizkie, a zatem niezdrowe dlatego, że mało mają powietrza potrzebnego ludziom do oddychania; wreszcie brak dostatecznego światła, które przez małe okienka z drobnych kawałków szkła złożone, dobrze izby oświetlić nie może. Na wsi tego nie chcą rozumieć, że zaduch jest zdrowiu szkodliwy, że powietrze w mieszkaniu otwieraniem okien powinno być odświeżane, a ciepło tylko umiarkowane w zimie utrzymywać należy. Wiadomo przecież każdemu, że człowiek na mrozie jest rzeźwiejszy i silniejszy niżeli w upał letni; co przekonywa, że ciała naszego rozparzać jak

właźni nie potrzeba, ale w umiarkowanem cieple utrzymywać. Cóż dopiero powiedzieć o tych *kurnych* chatach w *Krakowskiem*, *Lubelskiem* i na *Litwie* budowanych bez kominów, gdzie podczas palenia ognia dym w całej izbie równo z o knami jak chmura wiszący, chodzącym oczy gryzie, a wszystko kopci i tylko dziurą nadedrzwiami zrobioną do sieni, a ztąd dopiero na dwór wychodzi? Tam to kobieta cały tydzień usmolona, ledwo w święto do kościoła biało odziana pokazać się może.

Jak źle zbudowane są ściany chałup, w których niema podłogi, dobrych pieców i kominów, ani należytego zamknięcia, a w węgłach pod sznur nieoberzniętych sterczą wystające nierówne końce dylów, tak również nędzne pokrycie dachu słomą, nieraz dziurawe i obszarpane wskazuje całe niedołęztwo budowy i utrzymania osady, której dalsze zabudowania, jako to: stodoły, szopy i chlewy, oraz studnie i płoty w podobny sposób stawiane, dopełniają smutnego wsi obrazu. Prawda, że domy z drzewa budowane, słomą kryte, są tańsze, cieplejsze i zdrowsze, przez to. że nie trzymają wilgoci; ale jakaż jest ich trwałość na czas dłuższy, i jakie bezpieczeństwo od ognia? Po kilkudziesięciu latach trzeba znowu budować, więc koszt nowy przybywa. A ileż to wsi i miast tak zabudowanych z dymem nie poszło, w których jedna iskra z komina podczas wichru spadłszy na dach, całe osady bez ratunku od jednego końca do drugiego wymiotła; w jakowem nieszczęściu sikawki i bosaki nic nie pomagają, bo przystęp do ognia w gwałtownym pożarze jest niepodobny. Tysiącami ludzie tracą, całe majątki i przytułek, los ich opłakany bez wsparcia i zasobu przyprowadza do najsmutniejszego stanu i nędzy.

Takie są skutki naszego budownictwa wiejskiego. Doznają ich także i folwarki panów; a jednak mimo takich szkód i klęsk niczem niepowetowanych, nie przestają po większej części uparcie jeszcze tak samo jak dawniej budować. Zły to i nie gospodarski rachunek; bo kto *muruje*, ten buduje, a kto *buduje*, ten kleci, mówi stare przysłowie. O murowaniu dotąd mało gdzie kto myśli, z uwagi na koszt jednorazowy większy, nie bacząc nic na długotrwałość takiej budowy i nie zastanawiając się nad przyszłością, z czego potem budować przyjdzie, kiedy drzewa zabraknie, przy tak nieumiarkowanem wyniszczaniu i marnowaniu lasów!

Smutnych tej nieoględności skutków już oddawna doświadczają w krakowskiem, gdzie teraz choćby chcieli murować, mając dostatek wapna, to nie mogą, bo niema czem cegły wypalić. Stawiają więc po wsiach chałupy i wszelkie budynki z 4ch *słupów* po rogach w ziemię wkopanych, z ścianami wyplatanemi *chrustem* wierzbowym i wylepianemi gliną. W takich ludzie i bydlęta cierpią dokuczliwe zimno; bieda dziurami we wszystkie kąty zagląda. Tam jedynem poratowaniem gospodarza jest *wierzba* sadzona, z której obcinane gałęzie wystarczać muszą na wszelkie jego potrzeby. Drzewo to jest bogactwem chłopa; już to dostatni być musi, jeżeli kilkadziesiąt rosnących wierzb w *posagu* za córką dać może. Lasy bowiem tam naokoło o mil kilkanaście wycięte, są osobliwością w dochowanych gdzieniegdzie gaikach lub zaroślach takich, że zając niema gdzie się schować. Wycinali na potęgę panowie, pomagali im chłopi, mówiąc sobie: „nie było nas, a był las, nie będzie nas, a będzie las". Tymczasem inaczej się stało. Lasy znikły, nikt zaś o ich odnawianiu i utrzymaniu nie pomyślał. Obejrzał się dopiero kusy, jak mu ogona nie stało.

Słoma, coby powinna być używaną na pomoc w paszy dla bydła i na podściół, a ztąd gnojem wracać do roli na użyznianie pól wyjałowionych, gnije na dachach, lub nią w piecach palą; takie to wyrachowane często napotkasz na wsi gospodarstwo! Gnoje na podwórzu nieuprzątane marnują się, albo co gorsza, przed progiem chałupy wraz ze śmieciami na kupę porzucone, są legowiskiem świń i widokiem odrażającym dla przechodnia. Wszędzie pełno nieczystości, które zebrane do gnojowiska, usunęłyby nieporządek z podwórza, a przyniosćby mogły z roli pożytek.

Jeżeli zajrzymy do środka budynku mieszkalnego, będzie tam izba brudna, nie znajdzie się w niej żadnego porządnego sprzętu domowego, jako to: stołu, stołka i łóżka; obrazy istne bohomazy do niczego niepodobne, piece proste nieoszczędzające opału, kominy

z izby zatykane *babą* z grochowin, szmatami obwiniętą, jaka nieraz od gorąca się zatli, a tak z ogniem nieuważnie do sieni wyniesiona i w kąt rzucona pożar sprawi. Cielęta i kury w niej karmione dopełniają nieporządku i czystości utrzymać nie dają, jeżeli niechlujna gospodyni śmiecia nie uprząta i o potrzebnem ochędóstwie nie pamięta. W komorze ciasnej leżą na ziemi, lub wiszą po ścianach bezładnie rozmaite rupiecie. Niema osobnej spiżarki na skład żywności, ani też piwniczki do zachowania warzywa na zimę, którą zastępuje w podwórzu *parsk*, czyli dół w ziemi wykopany, z otworem deską i słomą zatykanym, w jaki na czworakach włażąc, powalać się trzeba. Do chlewa pod podwalinę wilk się podkopie, bo tu łatwo dostać się może, a z obory i stajenki złodziej konia lub krowę bez trudności wyprowadzi; gdyż tam niema żadnego zamka, tylko drzwi są zatykane kołkiem, i tak chudoba jest na Opatrzności boskiej. Studnię z cembrowiną zgniłą i walącym się żurawiem, wrony wywracają, a błoto nieraz do tego dołu nieopatrzonego ścieka, zkąd woda nieczysta jest braną. Na ulicy kałuże, z których nikt wody nie odprowadzi za spadkiem. Cała wieś brodzi po kolana w grzęzawisku i czeka, aż błoto samo wyschnie.

Z narzędzi gospodarskich często zaledwie w domu bywa jedna tylko i to ladajaka siekiera. Niema rydla, motyki, piły, świdra, dłuta i t. p. statków, bez których w gospodarstwie obejść się nie można. Pług lub socha, brona, grabie i widły prostej roboty; oto wszystkie narzędzia rolnika, których do pracy używa. Robi je majster *miotlarz*, albo też sam gospodarz zdłubie jak może i jak potrafi. Ztąd to każde narzędzie nieszykowne, mordujące niepotrzebnie człowieka, niezdatne jest do wykonywania dobrze, łatwo roboty, na czem strata czasu i mały pożytek. Wozy niekute, zaprzęgi niezdarne, karki bydlętom psujące; często brakuje postronka, który wicią zastępują; o kawałek zapaśny żelaza i skóry nie pytaj, bo po to w razie koniecznym potrzebujący musi chodzić do miasta umyślnie. Drewka na komin do gotowania jedzenia rzadko gdzie znajdują się suche; palą ogień zwykle surowemi, a światło mają z kopcącej drzazgi, lub w niedostatku tej po ciemku siedzą.

We wsiach podobnych, ogrodzenia około budynku i ogrodu z żerdzi lub chrustu co rok są nowe, bo wyschłe rozbiorą na ogień, zaś w starych połamanych płotach świnie samopas puszczane, przez dziury do ogrodu łażą i szkody robią, z czego swary i kłótnie sąsiedzkie powstają. Płot nowo postawiony, ma kołki nierówno urznięte, i zawsze jest krzywy; a cóż łatwiejszego jak wytknąć sobie linię prostą, postawiwszy dwa kołki w jakichbądź odstępach, do których kierując trzeci i czwarty, oznaczy się potrzebna prostość, miła dla oka, wskazująca porządek i ład gospodarski!

Nie sadzą po większej części drzew dla przyozdobienia siedziby zielonością i zasłony budynków od wypadków ognia. Nawet sadek owocowy we wsi jest osobliwością; niema starania o szczepy dobrych gatunków, najczęściej tylko dzikie grusze spotykać można, albo śliwki gęstwiną rosnące jak w lesie, przez co one mało rodzą owocu. Pasieki pszczół jeszcze rzadsze, gdzieniegdzie mają po kilka starych ulów nadgniłych, w których pszczoły utrzymać się nie mogą.

Wszystkich tych nieporządków, niedostatków i zaniedbania po wsiach wyliczyć trudno. Przyczyną tego najwięcej jest nieumiejętność radzenia sobie, niestaranność o polepszenie swojego bytu i niepamiętanie na przyszłość, żeby gospodarstwo w dobrym stanie zostawić wnukom. Jest nadzieja, że przy zaprowadzanem teraz czynszowaniu gruntów, rządność i ład przecież do wiosek zawita.

Do rozpoczęcia tej ważnej i pożądanej zmiany najpierwej potrzeba nanowo urządzić i tak podzielić grunta, żeby każdy gospodarz *swoje pole* miał, nie jak dotąd rozdzielone w *trzech miejscach* czyli zmianach, ale wszystko razem w *jednym dziale* całkowitym, chociażby mniejszym, ale za to dogodniejszym do zagospodarowania, bez żadnej znikąd przeszkody. Gdzie tylko w taki sposób zrobiono podział pól, tam już gospodarze lepiej się mają, co widoczne jest u kolonistów. Najtrudniejsze bowiem jest gospodarstwo w rozrzuconych kilku częściach pola, do których nieraz przystęp bywa trudny, a zasiew wystawiony na szkody przez wspólność pastwiska. Wiele ztąd biedy i upadku doznają nietylko wsie zaciężne, ale także, a nawet więcej, przez

rozdrobnienie pól, cierpią miasta rolnicze i wsie szlacheckie, w podziałach gruntu na wązkie i długie zagony. W tem zamieszaniu zgubnem nikt sobie poradzić nie może, chociażby chciał w swojem polu co lepiej zrobić; bo mu przeszkadzają blizkie z dwóch stron cudze działy, pomiędzy któremi uprawa, zasiew i zbiór z trudnością przychodzi, nawet ze szkodą przy niezgodnych i złych sąsiadach. Ten sęk koniecznie złamać potrzeba, gdyż on najwięcej złego zrządza i gospodarstwa należycie prowadzić nie daje.

Następnie potrzeba stawiać lepsze, porządniejsze i trwalsze budynki, żeby w nich były wszystkie pożądane wygody mieszkania. Nie tak to drogie będzie murowanie, jeżeli w gruntach wsi znajdzie się glina zdatna na cegłę, a w niedostatku wapna, i na glinę ściany murować można. Nawet z samej gliny stawiane budynki, trwalsze są, aniżeli z drzewa. Można także robić dobry mur z samej mieszaniny wapna z piaskiem, bez wypalania. W taki sposób na Szląsku piętrowe domy stawiają, bardzo dobre i trwałe. Dachy jeżeli nie z dachówki, to przynajmniej z tarcic grubości półcalowej robione być powinny. Budowle stawiać należy podług pewnego porządku i planu, i do tej roboty używać majstra mającego praktykę, nie zaś żeby sobie każdy sam budował byle jako. Tak samo narzędzia gospodarskie robić powinien dobrze znający się na rzemiośle.

Porządne ogradzanie i sadzenie gdzie można drzew, przyozdabia osadę. Zaprowadzenie sadków owocowych i pasieki mało kosztujące, przynosi znaczny pożytek. Wszystko to można mieć; chcącemu niema nic trudnego, święci garnków nie lepią. Wszelka nauka łatwo przyjdzie, przypatrzywszy się tylko pilnie, jak się co gdzieindziej lepszego robi.

O drogach pomiędzy wsiami, polami i prowadzących do lasu, mało kto u nas pomyśli, żeby je poprostować i poprawić do wygodnego przejazdu, który w wielu miejscach utrudniają kamienie, wyboje i bajory błotniste. Zrobić to można szarwarkiem, ale raz przecie gromadą wziąć się do tego potrzeba. Połączonemi siłami ludzie dokazują wielkich rzeczy. Bardzo trafnie i przekonywająco w tej mierze sławny nasz poeta Krasicki, książe biskup Warmiński powiedział:

Kiedy się wójt pracy ima,
A gromada z wójtem trzyma,
Wszystko idzie dobrym torem;
Ale gdy idzie oporem,
Gdy z wójtem robić nie rada,
Mało zbierze ta gromada.

Wieczór w rodzinie.

Ogień trzaskał na kominie, gwiazdy wieczorne świeciły na niebie, mróz osiadł na szybach wieśniaczej chaty, w której siekiera Macieja i kołowrotek Marty odpoczywały po pracy; bo był to dzień świąteczny, uroczystość wielka Trzech Króli!

Stary Maciej z białym, długim włosem wyjął z-za okna podartą książkę, i zapędziwszy dzieci przed komin, siadł koło ognia na ławie.

Kasia i mały Floruś u nóg jego czekali jakiej nowej powieści; piętnastoletnia Anna schowawszy łyżki i miski po wieczerzy, wzięła od dziadka książkę i przeczytała wskazany sobie ustęp, zakończony w te słowa:

„Dziecię Jezus leżało w ubogim żłobku, kiedy Trzej Królowie ze wschodu przyszli pokłonić mu się z darami. Biedni i smutni, cieszcie się; ubóstwo dziś u żłobka Zbawiciela powstaje w królewskim płaszczu i zajmuje tron najwyższy. Ubóstwo, ty jesteś purpurą, którą przywdział Król królów, gdy zszedł do dziedzictwa swego; tyś jest piękniejsze niż trzech mędrców dary; tyś jasne jak gwiazdka, co nad Betleem w dniu Narodzenia Pańskiego świeciła. Szczęśliwi ubodzy, błogosławieni ubodzy! Corocznie w pamiątkach kolendy przechowuje się cześć wasza i wyniesienie przed Bogiem. Dzień Bożego Narodzenia przypomni uświęcone ubóstwo Zbawiciela, umocni was i pokrzepi. Tak zawsze u świętego źródła szukajmy uspokojenia trosk naszych, które najkrótszą drogą do nieba nas wiodą“.

Dziewczynka czytała dalej:

„Trzej Królowie przynieśli Panu w darze mirę, kadzidło i złoto, a pasterze pieśni, kolendami zwane“.

— Na tę pamiątkę, wtrącił dziadunio, rok rocznie młodzi i starzy śpiewają kolendy, a kto może, niesie do kościoła do poświęcenia mirrę, kadzidło i złoto.

— Myśmy także dawali mirrę i kadzidło, przerwała Marta.

— A złoto? spytał Floruś, cisnąc się na kolana dziadka.

— Złota nie mamy, odparł starzec.

— Dziadku, rzekła Anna z uśmiechem, czyż nie mówiłeś nieraz matulce, że ja mam *serce złote*?

Starzec spojrzał z rozczuleniem na dziewczynę;

— I cóż, zapytał, mówiłem.

— Nie możnaby tego serca dać poświęcić dla Pana Boga?

Marta i Maciej rzucili na siebie pełne wzruszenia spojrzenie, poczem starzec przytulił dziecię do piersi, i uroniwszy łzę, powiedział:

— Nie inaczej dziecię moje; poczciwe serce jest jedynem złotem, jakie ubogi wieśniak oddać Bogu może, i zarazem jedynem, godnem Boga, złotem. Szczęśliwy, kto je posiada, kto niem ołtarze zaściela, kto w każdą uroczystość śpieszy z ofiarą czułego, mężnego, cnotliwego serca. Myśl twoja pewnie w niebie powtórzoną została, i nasza chata w tej chwili tak bogatą wydaje się Panu; dziękujmy mu za to, śpiewając kolendy wraz z pasterzami.

Tu dziadunio rozłożył książkę i zaczął drżącym, ochrypłym głosem; Marta i Anna wtórowały mu silniej, toż Floruś i Kasia. Ogień trzaskał na kominie, a śnieg nawiany po drogach, skrzypiał pod kołami wózka wędrownej szopki, co nawiedzała okoliczne dworki i chaty:

Od pana do chłopka,
Od chłopka do pana
Wędruje wciąż szopka.
Kolenda kochana
Życzeniem rozczuli;
Gwiazdeczka skrzydlata,
Co wiodła Trzech Króli
Z dalekich stron świata.
A w chacie masz sobie
Słomiane poszycie,
I krówkę przy żłobie
I matkę i dziecię;
Toć święta prostota
Nie krzywa nikomu,
Więc szopka we wrota,
I szopce jak w domu.

Jakoż istotnie zapukano do drzwi, i we wrotach ukazała się szopka z jarzącym stoczkiem. Dzieci powitały ją okrzykiem radości, dziadek cichym uśmiechem, w którym widziała jakąś mgłę wspomnienia, jakąś pamiątkę szczęśliwej młodości; Anna zaś spytała matkę, czy będzie czem zziębniętych chłopców utraktować.

Znaleziono gorącą jeszcze kaszę ze słoniną na kominie, wystawiono miski, a wiejskie chłopcy uwijały się koło drewnianej szopki, w której głębi Matka-Boska czuwała nad Dzieciątkiem-Jezus leżącem w żłobie, około którego klęczeli królowie, pasterze i bydlątka. Wszystko było gotowe; zapalono stoczki, a skoro Anna posprowadzała już wszystkie rozespane dzieci sąsiadki, wykrzyknięto ogólną kolendę.

O mierności.

Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może nie dbać o wielkie dochody,
O wsi, o miastu i wysokie grody;
To pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.
Kto więcej szuka, jawnie to znać daje
Sam na się, że mu jeszcze nie dostaje.
Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości.

(Jan Kochanowski).

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa d. 21 grudnia (2 stycznia) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*